GLOBALNIE · ANALIZA

NOWY SOJUSZ, STARE HASŁO – REFORMA UE. CO SIĘ ZMIENIA?

Kacper Kita · 8 sierpnia 2021

Na początku lipca Jarosław Kaczyński ogłosił podpisanie przez PiS i kilkanaście innych partii z różnych krajów UE wspólnej deklaracji na temat przyszłości Europy. To najpoważniejsza w ostatnich latach inicjatywa jednoczenia prawicy krajów UE w jedną strukturę. Co istotne, jednym z jej motorów ma być partia rządząca Polską. To w Warszawie ma się we wrześniu odbyć wspólna konferencja eurosceptycznych ugrupowań. Wydarzenie zasługuje więc na analizę.

W stronę zjednoczenia europejskiej prawicy?

Hasło zebrania pod jednym sztandarem wszystkich istotnych ugrupowań sytuujących się na prawo od demoliberalnego głównego nurtu brzmi podniośle i działa na wyobraźnię. W poprzedniej kadencji Parlamentu Europejskiego (lata 2014–19) ugrupowania te były bowiem podzielone aż na trzy frakcje – Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (PiS, brytyjscy Torysi), Europę Wolności i Demokracji Bezpośredniej (Nigel Farage) oraz Europę Narodów i Wolności (Marine Le Pen). W obecnej kadencji grupy są już tylko dwie – EKR oraz Tożsamość i Demokracja. Dziś pojawia się na horyzoncie realna perspektywa stworzenia jednej, dużej grupy.

PiS długo trzymał dystans wobec „radykalnych", otwarcie antyunijnych ugrupowań, kojarzonych z nazwiskami takimi jak Le Pen i Farage. Oprócz stosunku do samej UE drugą osią sporu była oczywiście kwestia rosyjska – zachodnioeuropejska narodowa prawica była znana z otwarcie demonstrowanego ciepłego stosunku do Moskwy i osobiście Władimira Putina. Z partiami tego rodzaju, spośród polskich eurodeputowanych współpracowali dotąd jedynie politycy prawicy niepisowskiej – LPR w kadencji z lat 2004–09 i korwiniści w kadencji z lat 2014–19. W europejskiej polityce zaszło jednak jednocześnie wiele procesów, które pozwoliły na przełamanie lodów.

Największe tabu przełamane – Le Pen wśród sojuszników Kaczyńskiego

PiS od swojego powstania stale stoi na stanowisku „miękkiego eurosceptycyzmu" – popiera Unię Europejską, ale nie chce jej nadmiernej federalizacji. Przez lata naturalnym partnerem dla Kaczyńskiego byli w związku z tym brytyjscy Torysi, w 2005 roku wyprowadzeni przez Davida Camerona z establishmentowej „centroprawicy" EPP (partii Angeli Merkel). Posłowie PiS i Partii Konserwatywnej współpracowali w PE, tworząc dwa filary EKR. Jedni i drudzy nie chcieli być ani w mainstreamie, ani wśród antyunijnych czy nacjonalistycznych „radykałów".

W praktyce jednak stale zachodziła między nimi wyraźna różnica. W 2009 roku ówczesny lider opozycji Cameron był obecny w Warszawie na wiecu w ostatnich dniach pierwszej wspólnej kampanii do Parlamentu Europejskiego. Jarosław Kaczyński mówił wówczas w wystąpieniu, że UE jest „antykatolicka", a

wspólna Europa, by przetrwać, musi być chrześcijańska. Słuchający wówczas tych haseł Cameron, gdy doszedł do władzy, z własnej inicjatywy wprowadził uderzające w chrześcijańskie dziedzictwo homomałżeństwa. Celem Kaczyńskiego było zakorzenienie projektu integracji Europy w nieliberalnych wartościach, w tym właśnie w religii. Cameronowi natomiast mniej przeszkadzała ideologizacja UE, a bardziej ograniczanie suwerenności brytyjskiego państwa.

Gdy jesienią 2015 roku PiS doszedł do władzy, rządzona przez Camerona Wielka Brytania nadal wymieniana była jako główny partner Warszawy w ramach UE – również ze względu na obopólnie ciepły stosunek do USA i dystans wobec Rosji (oczywiście znacznie większy u Polaków, ale Cameron i Torysi rzeczywiście są stosunkowo antyrosyjscy, przynajmniej jak na standardy Europy Zachodniej). Te drogi szybko rozeszły się jednak, gdy w czerwcu 2016 roku, kilka miesięcy po wyborczym triumfie PiS, Brytyjczycy zagłosowali w referendum za wyjściem z UE.

Tym samym PiS-owi poważnie zagroziło osamotnienie w PE i europejskiej polityce – nawet, jeśli ostatecznie Brexit opóźnił się aż o prawie 4 lata. Konieczne stało się poszukiwanie nowych partnerów. Politycy PiS reagowali jednak nadal alergicznie, gdy wiosną 2017 roku Marine Le Pen na jednym ze spotkań przedwyborczych wymieniła rządzoną przez PiS Warszawę wśród ośrodków, z którymi chciałaby współpracować jako prezydent. Sam prezes Kaczyński deklarował wówczas: „Z panią Le Pen mamy tyle wspólnego mniej więcej, co z panem Putinem".

Łącznikiem między PiS-em a europejską narodową prawicą okazał się Viktor Orban, od lat blisko współpracujący z Kaczyńskim, a jednocześnie wyraźnie inaczej podchodzący do wielu kwestii międzynarodowych. Budapeszt i Warszawę różni przede wszystkim stosunek do trzech spośród najważniejszych państw świata – USA, Chin i Rosji – choć zauważyć należy, że po przegranej Trumpa w polskim rządzie widać chęć zrównoważenia podejścia do Waszyngtonu i Pekinu. W kontekście współpracy w ramach Europy ważne jest też to, że Orban rządzi dłużej od PiS-u i znacznie mocniej stawia na budowę swojego osobistego wizerunku na arenie międzynarodowej. Węgierski przywódca długo miał ciastko i jadł ciasto – był w EPP (a zaczynał nawet u liberałów, w 1999 roku premierzy Węgier Orban i Belgii Verhofstadt byli koalicjantami), a jednocześnie stał się gwiazdą światowej i europejskiej kontestatorskiej prawicy. Choć Orban rządzi wielokrotnie mniejszym państwem, poziom jego rozpoznawalności jest wielokrotnie wyższy niż w przypadku mało medialnego Kaczyńskiego czy premiera Morawieckiego. Pragmatyczny Orban nie miał też problemu z budową kontaktów z Le Pen i jej podobnymi. Nie była też dla niego żadnym problemem prorosyjskość większości narodowych ugrupowań.

W końcu jednak Orban został zawieszony, a następnie wyrzucony z EPP. Był to jasny sygnał również dla polityków centrowego, umiarkowanego skrzydła obozu PiS, którzy po Brexicie rozważali próbę akcesu do EPP – pod wspólnym sztandarem z Platformą Obywatelską i PSL. Dziś jest już jasne, że EPP nie chce mieć nic wspólnego z „populistami". Nawet tak mocno utożsamiany z ideowymi wygibasami i centryzmem polityk jak Jarosław Gowin został u merkelowców uznany za zbyt radykalnego – w końcu tworzy koalicję z Kaczyńskim, nawet jeśli się nie cieszy. Część polityków PiS chciała porzuconego Orbana wciągnąć po prostu do istniejącego już EKR, ale premier Węgier miał ambitniejsze plany.

Jednocześnie na horyzoncie pojawił się bowiem jeszcze jeden, rosnący w siłę partner. Na włoskiej prawicy zużytego Silvio Berlusconiego, od dekad członka establishmentowej EPP (choć znane są jego fatalne relacje osobiste z Merkel), zaczęli zastępować Matteo Salvini i Giorgia Meloni. To ważne zjawisko

opisałem szerzej w osobnym, poświęconym słonecznej Italii tekście. W styczniu 2019 roku, tuż przed kolejnymi wyborami do PE, będący wówczas na fali wicepremier Włoch Matteo Salvini z pompą odwiedził Warszawę. Spotkał się nie tylko z prezesem Kaczyńskim i premierem Morawieckim, ale również z kluczowymi dla PiS-u jako partii politykami jak Joachim Brudziński (wówczas podobnie jak Salvini minister spraw wewnętrznych) czy Krzysztof Sobolewski (z którym łączy go aktywne kibicowanie AC Milan). Co prawda Salvini utracił władzę we wrześniu tegoż 2019 roku, ale poparcie tracił później głównie na rzecz swojej junior partnerki Giorgii Meloni. Meloni, która w ciągu trzech lat doprowadziła swoich Braci Włochów z poziomu 4% poparcia do pierwszego dziś miejsca w sondażach (choć idą z Legą Salviniego łeb w łeb i często się na pierwszych miejscach wymieniają). Tej Meloni, która już jest sojuszniczką PiS w ramach EKR. Zresztą sam fakt, że w PE jest ona w teoretycznie bardziej „umiarkowanej" grupie, podczas gdy równolegle w samych Włoszech to jako jedyna stanowi opozycję do technokratycznego rządu z lewicą (który Salvini popiera), znakomicie pokazuje zamazywanie się granic między frakcjami europejskiej prawicy.

Salvini stał się pierwszoplanową postacią włoskiej polityki również dlatego, że spuścił z tonu, gdy chodzi o hasła stricte antyunijne. Jeszcze kilka lat temu fotografował się w koszulce „basta euro", dziś uznaje za pragmatycznie korzystne dla siebie posunięcie ustanowienie rządu z bankierem, którego tytułem do autorytetu jest uratowanie tegoż euro gdy był szefem Europejskiego Banku Centralnego (ciekawych meandrów włoskiej polityki jeszcze raz odsyłam po więcej szczegółów do swojego podlinkowanego wyżej tekstu). Równolegle podobną drogę we Francji przeszła krok po kroku „dediabolizująca" swój ruch Marine Le Pen. Dziś Rassemblement National nie popiera już ani wyjścia z UE, ani nawet ze strefy euro.

CZYTAJ TAKŻE: Nadchodzi wielkie starcie na francuskiej prawicy

Politykom takim jak Salvini i Le Pen łatwo oczywiście zarzucić koniunkturalizm. Fakty są jednak takie, że po prostu znacznie łatwiej może być im zdobyć poparcie 51% Włochów czy Francuzów w sprawie imigracji czy polityki wobec islamu – egzystencjalnego zagrożenia dla ich narodów – niż w kwestiach dotyczących UE. Jak mawiają niektórzy francuscy komentatorzy, muzułmańska Francja może być formalnie suwerenna, ale nie będzie Francją – trzeba jasno postawić priorytety. Po drugie, decyzje najbardziej destrukcyjne dla zachodnioeuropejskich narodów podejmowały przez ostatnie dekady i podejmują nadal przede wszystkim ich rządy narodowe. To nie UE kazała Francuzom przyjmować miliony muzułmańskich imigrantów, oddać uniwersytety i media w ręce postmodernistycznych „dekonstruktorów" cywilizacji czy wyrzekać się kolejnych kompetencji władzy wykonawczej na rzecz zideologizowanych sądów.

Salvini, Meloni i Le Pen z jednej oraz Orban i Kaczyński z drugiej są sobie po prostu potrzebni. Ci pierwsi reprezentują duże, zachodnioeuropejskie narody i mają realne szanse na dojście do władzy w nieodległej przyszłości. Dzięki współpracy z nimi PiS i Fidesz mogą być częścią znaczącego organizmu w ramach PE zamiast funkcjonować na jego marginesie. Prędzej czy później mogą też zyskać znanych i bliskich sobie partnerów w dużych zachodnich stolicach. Partnerów, którzy nie będą ich na starcie rozliczać z „łamania demokracji i praw człowieka". Orban i Kaczyński natomiast, w przeciwieństwie do pierwszej grupy, już są u władzy. Premier Węgier ma wyrobioną markę międzynarodową, a PiS reprezentuje sporej wielkości państwo – Polska po porażce Trumpa jest największym zachodnim krajem, w którym rządzi dziś ugrupowanie na prawo od głównego nurtu. Orban i Kaczyński uwiarygadniają też ewolucję ideową Salviniego czy Le Pen – bo choć przywódcy Węgier i Polski nigdy w swoich karierach przeciwnikami UE nie byli, to jednak z tymi byłymi zwolennikami wyjścia z Unii chcą dziś współpracować. Dla PiS-u ta

współpraca dodatkowo jest też wzmocnieniem w rywalizacji o wyborców z nie posiadającą posłów w PE Konfederacją, a teraz również wyprzedzoną w budowie relacji z najważniejszymi postaciami zachodnioeuropejskiej kontestatorskiej prawicy.

> Równolegle zaszły dwa procesy. Z jednej strony, PiS przez 6 lat swoich rządów mocno odczuł na własnej skórze, jak ciężko jest obecnie współpracować z unijnym głównym nurtem i instytucjami próbującymi odgórnie blokować kolejne ruchy w dziedzinie sądownictwa czy mediów. Z drugiej, liderzy narodowej prawicy w dwóch najważniejszych po Niemczech państwach UE doszli do wniosku, że większe szanse na dojście do władzy i realizację programu daje im rezygnacja z postulatów wyjścia i przejście na analogiczne do pisowskich pozycje reformy UE od środka.

Co jest w deklaracji?

W samej deklaracji ideowej zwraca uwagę wiele zasypujących różnice między nowymi partnerami elementów, takich jak podkreślenie znaczenia „więzi transatlantyckich między UE i NATO". Ukłonem w stronę Polski i Węgier niewątpliwie jest zdanie o „zmaganiu się przez dziesięciolecia z sowieckim totalitaryzmem". Zdanie, że „Unia staje się coraz bardziej narzędziem radykalnych sił, które chciałyby dokonać kulturowej i religijnej przemiany Europy, dążących do wykreowania europejskiego superpaństwa, destrukcji czy anulowania tradycji europejskiej, przemiany podstawowych instytucji społecznych i moralnych" brzmi naprawdę mocno jako otwarte potępienie dominującego w UE demoliberalnego establishmentu. Mocny i precyzyjny jest też zapis o „wykorzystywaniu struktur politycznych oraz prawa do kreowania europejskiego superpaństwa i nowych struktur społecznych jest przejawem znanej z przeszłości niebezpiecznej i inwazyjnej inżynierii społecznej, która musi wywołać uzasadniony opór. Moralistyczna nadaktywność, jaką obserwujemy w ciągu ostatnich lat w unijnych instytucjach, spowodowała niebezpieczną tendencję do narzucania ideologicznego monopolu".

> Obawiających się ustępstw na polu kultury czy imigracji mogą uspokoić zdania o tym, że „rodzina stanowi podstawową komórkę naszych narodów" oraz „w czasach gdy Europa stoi przed poważnym kryzysem demograficznym, to polityka demograficzna powinna być właściwą odpowiedzią – nie masowa imigracja".

W ogóle pozytywnie należy ocenić to, jak często w tekście pada słowo „naród" oraz jak wyraźnie zaznaczone jest, że to narody posiadają przyrodzone prawo do rządzenia swoimi własnymi państwami. „Narody czują, iż powoli odbiera im się prawo do wykonywania ich uprawnionej, suwerennej władzy". „My jesteśmy przekonani, że suwerenami w Europie są i pozostaną narody europejskie". Tak – Polskę i Europę ratować mogą dziś przede wszystkim suwerenne państwa narodowe, które dążą do realizacji interesu narodu, a nie niewybieralne zideologizowane pseudoelity, które chcą narodom siłą narzucić swoje odrealnione aberracje. Dziś to legitymizacja władzy „z dołu" oznacza obronę tradycyjnego porządku, a legitymizacja władza „z góry" dąży do jego destrukcji – odwrotnie niż podczas wielkiej rewolucji francuskiej. Temu przesunięciu poświęcę w najbliższym czasie odrębny tekst.

Uwagę zwraca w deklaracji wreszcie ostrożna fraza o „judeochrześcijańskim" dziedzictwie Europy, które powinno być poszanowane. Widać tutaj sukces strategicznej polityki Benjamina Netanjahu, przez lata dążącego do związania europejskiej prawicy ze sprawą Izraela i wpojenia jej przekonania o cywilizacyjnej wspólnocie. Kiedyś to prawica była bardziej niechętna wobec Żydów i Izraela, dziś jest na odwrót. Temu zagadnieniu poświęciłem odrębny tekst.

Kto wchodzi w skład nowej inicjatywy?

Oprócz wymienionych już PiS-u, Fideszu, Rassemblement National Le Pen, Legi Salviniego i Braci Włochów Meloni deklarację podpisały też hiszpański Vox (wg sondaży na dziś 15% poparcia), belgijska VB (25%, 1. miejsce, acz „kordon sanitarny"), austriacka FPÖ (18%), duńska DF (7%), fińska PS (18%), estońska EKRE (24%), grecka EL (5%), rumuńska PNT–CD (mikropartia nieuwzględniana w sondażach) oraz Akcja Wyborcza Polaków na Litwie (2%).

> Duże znaczenie i potencjał mają więc przede wszystkim właśnie kierunek francuski i włoski. Marine Le Pen ma realne szanse na wygranie wyborów prezydenckich w kwietniu 2022 roku, choć nie będzie faworytką. Z kolei Salvini i Meloni według sondaży wiosną 2023 roku powinni móc utworzyć rząd, w którym silniejsze z nich zostanie premierem. Gdyby choć jedna z tych prób się powiodła, PiS zyskałby partnera w drugiej lub trzeciej stolicy kontynentu – i to na krótko przed wyborami w Polsce jesienią 2023 roku.

Francja i Włochy to obiecujące kierunki z powodów politycznych i kulturowych. Ruchy prawicowe w obu z nich łączy z Polską niechęć wobec niemieckiej dominacji w Europie. Geograficznie rzecz biorąc Polska, Włochy i Francja praktycznie okrążają Niemcy. Oba zachodnie narody są historycznie łacińskie i katolickie, w związku z czym kulturowo są bliższe Polakom niż Niemcy czy Wielka Brytania. Z oboma mamy w przeszłości znaczące tradycje współpracy, nie mamy za to żadnych istotnych powodów do wrogości czy niechęci. Dla Polski właściwą cywilizacyjnie drogą wydaje się właśnie ta rzymska, przez wieki fascynująca pokolenia w naszym kraju – od średniowiecza poprzez szlachtę w I RP po Zbigniewa Herberta.

Wybitny francuski nacjonalista Charles Maurras pisał: „Jestem Rzymianinem, ponieważ Rzym, od konsula Mariusza i boskiego Juliusza aż po Teodozjusza, zarysował pierwokształt mojej Francji. Jestem Rzymianinem, ponieważ Rzym, Rzym księży i papieży, dał wieczystą podstawę uczuciom, obyczajom, językowi, kultowi, dziełu politycznemu pokoleń administratorów i sędziów. (...) Jestem Rzymianinem w bogactwie mego istnienia historycznego, intelektualnego i moralnego. Jestem Rzymianinem, bo gdybym nim nie był, nie miałbym w sobie również prawie nic z Francuza. I nie doznaję nigdy różnicy pomiędzy moim poczuciem bycia Rzymianinem, interesami katolicyzmu rzymskiego oraz interesami Francji, które się zawsze zgadzają, a nie są sprzeczne w jakikolwiek sposób. Lecz także inne jeszcze interesy, bardziej ogólne, o ile nie bardziej naglące, dają mi prawo czuć się Rzymianinem". Czy w dobie narastającego oporu wobec dekonstrukcji cywilizacji słowa te nie nabierają nowego sensu?

Sojusz wymierzony w Niemcy?

Wracając do przyziemnego świata polityki – Francja i Włochy są i będą nadal po prostu największymi i

najważniejszymi po Niemczech państwami Starego Kontynentu. Wydaje się, że właśnie współpraca przeciwko Niemcom dążącym do hegemonii w Europie oraz wspieranemu przez Berlin projektowi ograniczenia suwerenności państw w ramach UE stanowią dwa kamienie węgielne ewentualnej osi Paryż–Rzym–Warszawa.

To właśnie Niemcy wydają się też wielkim nieobecnym inicjatywy. Mowa konkretnie o AfD, będąca przecież członkiem Tożsamości i Demokracji w PE. Z czego dokładnie wynika brak tej partii? Znaczenie miała pewnie uzasadniona obawa Polaków przed wzrostem „skrajnej prawicy" u naszego zachodniego sąsiada, wynikająca z doświadczeń historycznych. Zasadniczą kwestią jest jednak pewnie sam stosunek do UE jako rozwijającego się europejskiego quasi-imperium. AfD z pewnością wolałoby, żeby w Niemczech było mniej muzułmanów, ale czy ma coś przeciwko niemieckiej hegemonii w Europie? Odpowiedź jest dość oczywista. Zresztą, czy z punktu widzenia interesów Polski słabnięcie wewnętrzne Niemiec w wyniku imigracji muzułmańskiej to tak zły scenariusz?

Warto też zauważyć, że AfD jest w niemieckiej polityce konsekwentnie izolowana, nawet na poziomie regionalnym. Co więcej, jej poparcie po początkowym boomie pozostaje wg sondaży na poziomie 10–11%. We wrześniowych wyborach parlamentarnych AfD uzyska więc zapewne podobny lub nawet niższy wynik niż 4 lata wcześniej (w 2017 roku 12,6%). W przeciwieństwie do Le Pen, Salviniego i Meloni AfD nie ma więc szans na dojście czy współudział we władzy w przewidywalnej przyszłości. Innymi słowy, wielką stratą dla powstającej formacji brak AfD nie jest.

Punktem sporu pozostaje oczywiście Rosja. Warto jednak zauważyć, że na tym polu Włosi i Francuzi również „zluzowali". Podczas niedawnego spotkania z Orbanem i Morawieckim Salvini wypowiedział symboliczne słowa skierowane do Warszawy: „Spotkałem się z premierami dwóch krajów, przyjaciół Włoch, z którymi utrzymywana jest bardzo ważna wymiana handlowa i relacje kulturalne oraz gospodarcze. Polska jest krajem NATO o fundamentalnym znaczeniu, stanowi tamę dla rosyjskich ambicji". Po angielsku na takie zdania mówimy: „to pay lip service", ale od czegoś trzeba zacząć.

Z kolei Marine Le Pen, co mało kto w Polsce wyłapał, w ramach „dediabolizacji" postanowiła niedawno porzucić totem swojego ojca i ataki na Amerykę. Kilka dni po omawianej deklaracji szefowa Rassemblement National opublikowała w „Opinion" tekst o tym, że strategiczne partnerstwo niemiecko–francuskie poniosło porażkę, a Francja powinna dziś zwrócić się ku „Wielkiej Brytanii, Stanom Zjednoczonym i Indopacyfikowi". Nie ma tu Niemiec, nie ma Rosji, jest za to świat anglosaski. Ewidentnie pozycje Le Pen są więc bliższe tradycyjnym pozycjom PiS-u, który równolegle ze swojej strony po inauguracji Bidena przesuwa się w stronę dążenia do zrównoważenia relacji z USA innymi kierunkami.

> Marine Le Pen dziś to nie Amerykę, ale właśnie Niemcy piętnuje jako wroga nr 1 dla Francji. Pisze o tym naprawdę mocno: „Iluzją jest, że Niemcy mogą się zmienić". „Tożsamość Niemiec jest sama w sobie przeszkodą dla wszelkiej współpracy". Le Pen krytykuje też w tekście Macrona za to, że trzymając się Merkel pomaga Niemcom budować swoją dominację w Europie Środkowej i realizować program Mitteleuropy.

Co z Rosją?

Liderka francuskich nacjonalistów chciałaby, żeby Francja tworzyła dla państw naszego regionu alternatywny wobec Berlina ośrodek współpracy, a nie skazywała je na podporządkowanie Berlinowi, mogącemu zawsze szantażować je obecnością Rosji. Zdanie: „jak można nie rozumieć, że Berlin zawsze będzie wybierał swoją politykę geografii – jednoczenie wokół siebie państw *Mitteleuropy* naprzeciwko Rosji, która pozostaje zawsze obecna w jego [Berlina] kalkulacjach" to zresztą jedyny moment, w którym w programowej deklaracji Marine pada słowo „Rosja". Na temat konieczności pogłębiania relacji z Kremlem nie ma nic.

Oczywiście Francja, Włochy, Le Pen i Salvini nie przestali nagle stawiać na dobre relacje z Moskwą. Rosja jest po prostu zbyt duża, by kiedykolwiek być całkowicie izolowana. Warto na tym polu porzucić ukształtowane pod zaborami i w PRL myślenie życzeniowe spod hasła „za Uralem będą Chiny, Was nie będzie s*****syny". Tym bardziej, że jak zauważa nawet taki krytyk obecnego polskiego rządu Witold Jurasz, „o czym często się w Polsce zapomina, Polsce nie grozi dziś atak ze strony Rosji", a „nikt na Kremlu nie ma złudzeń, że Polska jest częścią Zachodu i można co prawda próbować jej szkodzić, ale inaczej niż Ukrainę, nie da się jej »odwojować«".

Jurasz ma akurat tu rację i jest to dobra wiadomość dla Polski, wspólny sukces polskiej klasy politycznej po 1989 roku. Jakie więc są cele naszej polityki względem Rosji i czy na pewno nasze interesy są radykalnie sprzeczne z tymi Francji i Włoch? Wypada myśleć realistycznie i nie rzucać hasłami, których nigdy nie osiągniemy. To ostatnie zdarzyło się niestety ostatnio Jackowi Bartosiakowi piszącemu na Twitterze, że „w interesie RP jest upadek Rosji". No jasne, dobrze by było, można sobie pomarzyć, ale to cel równie równie realny co odkrycie głęboko pod polską ziemią największych na świecie złóż ropy naftowej i złota.

Stałe pogłębianie więzi politycznych i gospodarczych z czołowymi państwami Europy Zachodniej, takimi jak Francja i Włochy, jest wysyłaniem na Kreml kolejnego sygnału, że Polska jest, jak wyżej, nie do odwojowania. Daleko poza zasięgiem Moskwy, której pozostaje obrona odkrojonych pojedynczych fragmentów Mołdawii czy Ukrainy na pocieszenie, że zdecydowana większość Ukraińców, inaczej niż przed 2014 rokiem, nie chce mieć już nic wspólnego z ruskim mirem. Od polskiej klasy politycznej wymaga to dojrzałości i nie popadania w histeryczne krzyki o nowej Jałcie i kolejnej zdradzie Zachodu, gdy Le Pen i Salvini będą się raz na jakiś czas spotykać z Putinem. Francuzi i Włosi powinni bowiem widzieć, że Polska jest poważnym partnerem, z którym można budować trwałe więzi, w którym warto inwestować etc. Państwem, którego istnienie jest w interesie Rzymu i Paryża. Polska jest państwem, którego niepodległość jest czymś stałym. Taką samą stałą częścią Europy, jak Francja, Włochy czy Austria – ten komunikat musimy stale wysyłać z jednej strony do partnerów w Europie Zachodniej, a z drugiej na Kreml. Musimy budować silne, oparte na konkretach relacje z konkretnymi państwami narodowymi i nie liczyć tylko na sam fakt członkostwa w organizacjach międzynarodowych takich jak UE – choć oczywiście współobecność w nich takiemu budowaniu relacji z innymi państwami sprzyja.

Ponadto błędem wydaje się skupianie się jedynie na Rosji jako zagrożeniu dla polskiej suwerenności. W polskiej historii dwaj więksi sąsiedzi naprzemiennie bywali dla nas większymi zagrożeniami. Podczas zimnej wojny niewątpliwie większe wyzwanie stanowił, mówiąc neutralnym językiem geopolityki, rosyjski ośrodek siły. Dziś jednak Rosja jest słabsza, Niemcy silniejsze. To Niemcy prezentują milionom Polaków atrakcyjny model cywilizacyjno-rozwojowy, wiążący się z korzyściami materialnymi, ale również wykorzenieniem tożsamościowym i utratą suwerenności. Rosja nie jest cywilizacyjnie atrakcyjna dla nikogo oprócz grupek całkowicie marginalnych. To do Niemiec Polacy wyjeżdżają, od nich się uzależniają. To

Niemcy dominują Europę politycznie i gospodarczo. To Niemcy posiadają ogromne wpływy w Polsce poprzez budowaną od początku III RP sieć mediów, firm, fundacji, organizacji pozarządowych, stypendiów, grantów...

ZOBACZ TAKŻE: Prawica wkrótce u władzy we Włoszech? Dlaczego Salvini wszedł do rządu z eurokratą?

Perspektywy sojuszu

Summa summarum dążenie do strategicznego partnerstwa z Paryżem i Rzymem wydaje się właściwym kierunkiem dla polskiego rządu, PiS-u i w ogóle polskiej prawicy. Oczywiście póki co Le Pen i Meloni są w opozycji, a Salvini jedynie współrządzi z centrolewicą. Oczywiście pokrewieństwo ideowe w realnej polityce międzynarodowej zazwyczaj przegrywa z interesami konkretnych państw. Wydaje się jednak, że pokrewieństwo ideowe i wspólne postrzeganie dwóch ważnych kwestii, czyli obawa przed niemiecką hegemonią oraz chęć obrony suwerenności państw narodowych, tworzą przyzwoitą bazę do strategicznej współpracy. Francja i Włochy to kierunki w które w miarę możliwości warto inwestować już teraz, niezależnie od tego, kto w nich rządzi.

Le Pen we Francji rządzić może, jeśli nie teraz to w przyszłości. Według sondaży, w II turze z Macronem ma obecnie między 40 a 48% poparcia. Do wyborów zostało 8 miesięcy, a Marine będzie liczyć na czynniki takie jak niechęć do ostrych restrykcji wprowadzanych przez Macrona, przeciwko którym trwają całkiem liczne demonstracje. Budowa kontaktów z francuską prawicą i dobrego wizerunku Polski na niej to dobra inwestycja, która prędzej czy później zaprocentuje. Warto pamiętać, że Le Pen najwyższe poparcie ma w grupie wiekowej 25–34, a Macron wśród emerytów, co tym bardziej czyni tę inwestycję perspektywiczną. Z kolei Meloni i Salvini to dziś liderzy odpowiednio pierwszej i drugiej sondażowo siły politycznej we Włoszech. Są stale faworytami do przejęcia wspólnie władzy wiosną 2023 roku. Czas pokaże, czy sprzeciw francuskich i włoskich wobec głównego nurtu europejskiej polityki będzie skuteczny. Dziś wygląda na to, że są powody do optymizmu.

Fot. Twitter/Matteo Salvini

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/nowy-sojusz-stare-haslo-reforma-ue-co-sie-zmienia/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć